

IV  
POEMATY PROZA



## ZAMIAST RYSUNKÓW [I]

### KOŚCIOŁEK ROMAŃSKI

Mały, jędrny, z granitowej ciosanej kostki stawiany, prostokątny, z półkolistą apsydą od wschodu, z wieżą czworograniastą, krepą od przodu, z portalikiem ozdobnym od południa, z kilkoma ciasnymi jak szpary okienkami, z bliźniaczymi, kolumnienką podzielonymi otworami na górze wieży...

Nad wejściem półkolisty tympanon z wizerunkiem snycerskim Narodzenia Chrystusa Pana Naszego. Figury Najświętszej Panny i świętego Józefa, silnie uszkodzone, Dzieciątko w szczelnych powijkach, dobre zwierzęta rogате, które o cud nad cudy się ocierały — wszystko naiwnie rozrzucone, nie trzyma się kupy; — ale takie to proste, takie szczere, jak melodia pieśni ludowej, jak malowane barwne jajko wielkanocne.

Stoi kościółek na pagóreczku wśród lip rozłożystych, ale młodszych od kościółka znacznie: on ich dziadów czy pradziadów może jeszcze pamięta.

Hełm na wieży nowszy: pierwotny, spalony od pioruna pewnie, albo przez złą wolę czy niezdarność ludzką, zastąpiono innym, barokowym; ale siedzi niczego, pasuje.

Ściany zdrowe, silnie spatynowane, dzisiaj są rozpalone od słońca, które dobrych sześć wieków z górą widzi, oświeca i karesuje tę wdzięczną budowlę.

Tylko północna strona trochę przez słońce zaniedbana: szara-

wym mchem z zielonym odcieniem gdzieniegdzie porosła, bez okien — strona to niebezpieczna, diabłom najmiłsza.

Zabytek stary, szacowny, z innych wieków ułamek, Piastowców udzielných pamięta.

Co dziejów, co burz przeniosło się nad kościółkiem — a on stoi w pagórek wrośnięty, niewzruszony i nieugięty, jakby z czasem sprzymierzony.

Wewnątrz za to pusty i smutny trochę. Skąpo światła. W romańskiej apsydzie rozpiera się barokowy ołtarz z bajecznie kolorowymi skrzyżnymi kolumnami, załamanyymi szczytami, srebrzonymi obłokami, przez które przechodzą złote promienie słońca, z drewnianych prędków sklecone. Obraz Matki Boskiej w sukience posrebrzanej, w wielkie tulipany kuty.

Ambona koło drzwi prościuteńka, bez baldachimu, niegdyś biała z czerwonym, kilka ławek starych, konfesjonał w rogu najciemniejszym, żyrandol niewielki rokoko kryształowy.

Drzwiczki do przylepionej niedawno zakrystyjki mają deseń podhalański, w słońce promienne.

Od strony wieży chórek — empora stara z strzelnicą zdradziecką i stare niziutkie organy zachrypnięte.

Pod emporą najwspanialsza kościoła ozdoba: z piaskowca kuty nagrobek dziedzica, wielkiego widać pana, herbu Łodzia, nazwisko i tytuły jego zaginęły razem z płytą, z pomnika przez ręce zbrodnicze wydartą. Wielki pan, rycerz w zbroi, potężna brodata figura, leży w nyży głębokiej, architektonicznie pilastrami, cokołem i gzymsem obramowanej. Leży oparty na prawym łokciu, z ręką wyciągniętą na lewe kolano, z wielkim, groźnym mieczem obnażonym, wzdłuż figury wyciągniętym. U nóg, trochę śmiesznie skrzyżowanych, wielki hełm z pióropuszem i tablica herbowa, w ufryzowaną ramę ujęta.

Pomnik z czasów ostatniego Jagiellończyka lub może króla Stefana, wielkiego Batorego.

Konsekrował ten kościółek jakiś zapewne Iwo, biskup krakowski, z rasy dusz twardych, nieugiętych, postać z nieśmiertelnych typów Matejki, które mistrz uwiecznił siedzącymi na stołcach, we wspaniałych ornatach, z rękoma podniesionymi ku górze, w rękawicach

z pierścieniami, w pantoflach krzyżem świętym znaczonych, w niskich złocistych infułach, z pastorałami zakończonymi niby haczykiem — na nich żmija, przez Panienkę deptana.

Za Zygmunta Augusta dziedzic — ten sam, co na nagrobku medytuje — pozwolił nowinkarzom kościół zabrać: wszystko tedy, sprzęt prawie cały, precz wyrzucono — i odtąd do dziś dnia panuje we wnętrzu pustka i kalwińska surowość. Za Zygmunta III zapewne kościół heretykom odebrano i na nowo jako splugawiony konsekrowano. (Czy nie wtedy zginęła płyta z nagrobka — czy też Moskali to późniejsza robota?). Wizytował później kościółek jakiś biskup rokoko, cały w jedwabiach fioletowych i koronkach, w pudrowanej peruce, co przyjechał kareta w czwórkę zaprzężoną z dwojgiem pachołków w tyle.

W 1863 potyczka była niedaleko: trzech naszych poległych pochowano na cmentarzu nieogrodzonym, gdzie większa mogiłka, na lewo od wieży.

W 1914 kilku legionistów, mijając kościółek, wybiegło może z szeregu na pacierz krótki za triumf sprawy polskiej.

### OLTARZ BAROKOWY

Ołtarz barokowy polski to cały poemat niesłychanie barwny, językiem może trochę napuszczonym i zawilym pisany, ale szczery, ale wymowny, egzaltacją nieziemską prawie rozpromieniony.

Wiją się, jakby z radości oszalałe, kręcone kolumny, skaczą nad nimi rozpięte i powyginane gzymsy, w radosnych, konwulsyjnych prawie płasach piętrzą się poszarpane fantazyjnie frontony, podobne czasami do sylwet aniołów, w zachwycie na jedno kolano przyklękłych i pobożnie schylonych.

Z wnek między kolumnami wychylają się pełne egzaltacji posagi świętych pańskich, ich fałdzone i szerokie szaty wichura jakaś jak żagle wydeła, skłębiła i potargała. Stoją święci mężowie i niewiasty święte, wszyscy z twarzami ku niebu zwróconymi, zachwyty pełni, z rozpostartymi rękami, w których dzierżą to pastorały, to księgi święte, to krucyfiksy, to wazy z wonnościami, to palmy męczeńskie, to lilie niebiańskie, pachnące cudownie. A naokół sploty

ozdobne snycerskie: owoców pęki, winogron Pańskich kiście złożone, srebrzone, zielone.

Na zasłonie wielkiego obrazu — prostokątnej, z wygiętymi rogami — na tle granatowo-żółtym, o krwawych blaskach — ekstaza: święci zakonnicy polscy, za wiarę zdradziecko pomordowani, wznoszą się wsparci na aniołach do stóp Chrystusa, co w głorii rajskiej zasiada. Na obrazie głównym sukienka srebrna, suto złożona, w wielkie fantazyjne kwiaty — lilie i tulipany — kuta, okrywa postać stojącą Przenajświętszej Królowej Korony Polskiej z Chrystusem Panem na rękę; oboje w potężnych koronach i z berłami w dłoniach.

Przenajświętsza o pocziwej polskiej twarzy, Przewieczne Chłopię — polskie chłopię. A wokół obrazu wota dziękczynne: srebrne i złote nogi uzdrowione, oczy uzdrowione, ręce uzdrowione, uszy uzdrowione, serca przepełnione wdzięcznością bez granic, serca gorejące, serca mieczami przeszyte, różańce kosztowne, na łańcuskach zwieszzone pierścienie, klejnoty, orderzy, sygnety, pereł sznury.

W górnych dwóch obrazach takie same ekstazy, pachnące dusznym oranżerii zapachem. A nad wszystkim, w górze samej, kłębią się pod krzyżem obłoki groźne i radosne, jak na górze Synai, wokół liter świętych, co skrót Imienia Maryi znaczą; tryskają z nich promienie słoneczne, pęki promieni złotych i srebrnych i zygzaki piorunów i strzał ognistych wśród rozhlukanych mocy!

A wszędzie aniołki: pucułowate, skrzydlate dzieciątka z wielkimi główkami, pulchne jak lalki gumowe, nadęte. Są wszędzie: to stoją, to siedzą — akrobaci niebiańscy na krawędziach gzymśów zawieszeni — to biegną, to klęczą, to grają na przeróżnych instrumentach, zawsze radosne i rozbawione, nawet gdy gwoździe Męczeństwa Nadludzkiego, gąbkę lub włócznię tragiczną w rączkach swych trzymają.

A główek skrzydlatych cherubinów nie zliczyć!

Wszystko to białe, suto złożone i srebrzone, miejscami czerwone, żółte, zielone, jakby wszystkimi kolorami tęczy dotknięte.

A wreszcie krucyfiks wielki, czarny, z Ukrzyżowanym z kości słoniowej, żółtawych świec woskowych dużych szereg w potężnych



lichtarzach, kupy kwiecia żywego i sztucznego w lichych wazonach, mensa duża, pękata, wykrzywiona, wśród esów-floresów złotych krzyżem świętym ozdobiona, obrusem białym koronką obszytym nakryta — i wreszcie centrum święte, tabernakulum zamknięte, gdzie w złotym kielichu spoczywa ukryta Hostia Przenajświętsza — Tajemnica nad tajemnicami.

Kłękajcie, kłękajcie, kłękajcie.

#### SALON PROWINCJONALNY (1880)

Salonik, o którym mowa, to pokój na parterze, podłużny, o trzech oknach; jedno wychodzi na ohydne podwórko: zasłonięto je portierą, co robi wrażenie drzwi i zwiększa pozornie rozmiary apartamentu. Tapety cielistego koloru w drobne różyczki z zielonymi, ostrymi listeczkami.

Firanki koronkowe w dużym desenie, dobrze nakrochmalone. Na oknach doniczki brunatne z wypalanej gliny i moc kwiatów: fuksje żółte z wisiorami, jak modne wówczas długie kolczyki, skromne mirty pachnące bez kwiecia, kaktusy opasłe, kolczaste, z tajemniczym długo wyczekiwanym kwiatem, mały oleander różowy, pachnący przecudnie — moc innych.

Meble nowe, w roku zeszłym kupione, czarne lakierowane, z toczonymi słupkami, obite materia gładką koloru bordo. (Portiery takie same). Jest tu sześć krzeseł, kanapa i dwa fotele. Przed kanapą spory stolik okrągły, nakryty wspaniałą pluszową serwetą zieloną, w czerwone kwiatki centkowaną. Na stole dwa żółte skórzane albumy ze starszymi i najświeższymi fotografiami: rodziny naprzód, znajomych w końcu. Cały szereg pustych dziur czeka na klientów.

Pod stołem wielki dywan zielony, obramiony girlandami potwornie wielkich róż purpurowych, białych i herbacianych. Na ścianie spory złocisty obraz, stary, olejny — jakiś port morski; owalny portrecik litografowany księcia Józefa; dwie, trzy fotografie w ramkach złożonych z zaokrąglonymi różkami.

Króluje jednak w salonie fortepian — wielki, nowy, czarny, lśniący się jak cylinder, wytworny — iście stołeczny. Wspaniała,

tajemniczy instrument, z którego można wydobywać czarujące dźwięki.

Co za morze tonów drzemie w tym pudle lśniącym! A co za radość, kiedy podniesie się wieko wielkie i ukażą się wiązanki srebrnych, wyprężonych strun!

Czasami któraś z siostr starszych zagrała nieśmiało „Z dymem pożarów...” albo „Boże coś Polskę“, zamknawszy uprzednio dobrze okna, żeby, Boże broń, któryś z sąsiadów lub przechodzących Moskali nie usłyszał — dopiero byłaby awantura! Do fortepianu należała duchowo nieduża, o toczonych słupkach etażerka: na dwóch jej półkach średnich złożone były nuty, na górnej stały piękne lichtarze srebrne, krucyfiks czarny i drobiazgi kolorowe szklane i porcelanowe, na dolnej zaś leżało kilka sporych, oprawnych romansów ilustrowanych francuskich, wydanych w czasach Ludwika Filipa.

Czasami przychodziła do saloniku jedna z sąsiadek, młoda dama Rosjanka, aby grać i śpiewać. Pod otwartymi oknami salonu gruppowali się wtedy jej wielbiciele, oficerowie rosyjscy, kawalerzyści z małego garnizonu miejscowego.

Co za typy!

Dama śpiewała zwykle jakieś melancholijne, pełne tęsknoty „romanse“ cygańskie albo wesołe, skoczne kozaczki. Oficerowie szaleli z zachwytu, klaskali jak opętani, przechylali się do wnętrza pokoju z wielkim niebezpieczeństwem dla kwiatów, stojących na parapetach. (Dama ostatecznie uciekła z oficerem, oczywiście nie z mężem).

Recepcje w saloniku były rzadkie. Dlatego w pokoju tym, wiecznie zamkniętym, pachniało trochę stęchlizną. Jednak czasami zjawiało się obce towarzystwo, panowie i panie. Panowie zresztą przechodzili zwykle prędko do kancelarii na preferans, pozostawały w saloniku same panie. W sukniach spętanych u dołu, z dużymi fałdzysto podpiętymi fartuchami innego niż suknia koloru, z olbrzymimi tiurniurami, z długimi, szerokimi u dołu rękawami, w toczkach niedużych na głowach, strojnych sztucznymi kwiatami i podwiązanymi pod brodą szerokimi wstęgami — panie szczebio-



tały o najnowszych wypadkach dnia w miasteczku, sypały miłe ploteczki, drobne nic.

Jedna tylko z dam, osoba starsza, zawsze jeszcze w krynolinie, w szalu tureckim na plecach, obywatelka z najbliższej wsi, teściowa posła do parlamentu pruskiego, uciwała z ojcem pogadanki polityczne o Fryderyku II, o stosunku Bismarka do kronprincessy Wiktorii, o wakującym wciąż arcybiskupstwie poznańsko-gnieźnieńskim, o śmierci kanoników czy prałatów tamecznych — w złe dla polskości lata...

Pewnego dnia meble zestawiono inaczej, w osobliwym chaosie. Fortepian zdegradowany usunięto w kąt. Wniesiono na jego miejsce inne wielkie, czarne, podłużne, lśniące pudło — trumnę. Ustawiono ją na stole, otoczono gromnicami. W trumnie leżał wysoki mężczyzna, w pełni wieku, w czarnym surducie, w czarnych rękawiczkach, lśniących lakierkach — dobrze ogolony, żółty i przerażająco błydy. Pachniało cytryną i jakimiś mdłymi lekarstwami.

Wkrótce salonik przestał istnieć.



## ZAMIAST RYSUNKÓW [II]

*Nagrobek Dostojnych Pań Elżbiety Rakuskiej i Barbary  
Radziwiłłówny, żon J. K. M. Zygmunta Augusta, Króla  
Polskiego, dziedzicznego W. Xięcia Litewskiego w ka-  
tedrze wileńskiej*

Katedra krzyżacka, gotycka, wileńska. Jedna z bocznych kaplic najwspanialej przez Zygmunta Augusta ozdobiona, a olbrzymim pomnikiem dwóch żon w jego kwiecie wieku zmarłych wyposażona. Pomnik renesansowy, pogodny i jasny bez dramatów walczących z sobą cieniów, bez łkań, bez rozpaczy.

Wśród misternych pilastrów kwieciami ozdobionych stoi postać Elżbiety Rakuskiej, w płaskorzeźbie dłutem pierwszorzędnego mistrza włoskiego wykuta, stoi z złożonymi rękoma, w koronie na głowie w szatach majestatycznych niewieścich. Stoi, jak zjawia biała, jak widmo leciutkie, zdziwione nad trumną swą własną w podziemiach tuż złożoną, w którą tak młodo, tak młodo, dziecko to wesoło szczebiocące złożono. U nóg jej tarcza herbowa Habsburgów, co po korony świata całego szczęśliwie sięgali i co Polsce i Litwie już jedną wielką matkę królów dali.

Wyniosła postać Barbary w pozie leżącej zajmuje górną prawą część monumentu.

Leży w koronie na głowie, w szatach niewieścich, w welonach długich i wspaniałych, z złożonymi rękoma, przedziwnie w marmurze ciemnym kuta. Leży ukochanie królewskie, dojrzałe niż pierwsza, już raz owdowiała, drugie gody weselne sprawiała. Leży

zadumana ofiara losów zawistnych, w majestacie niewysłowionym, leży i zda się spoglądać na męża, który marmurowe czarne stalle u jej właśnie postaci ustawić i wmurować kazał, by, siedząc w kiry odziany, przy wizji ukochanej, nad trumną jej właśnie w podziemiach złożoną, medytować mógł nad losów ludzkich koleją tak zmienną i bladymi wargami bezduszne słowa modlitwy łacińskiej niby w pociesze bez pociechy powtarzać.

U nóg jej radziwiłłowskie trąby, a nad wszystkim potężne orły polskie, chyże pogonie litewskie skrzyżowane na tarczach olbrzymich suto fryzowanych i między nimi mała żmijka Sforzów, żmija ukoronowaną postać ludzką chciwie łykająca, żmija bez litości i miłosierdzia, żmija jadowita i złośliwa.

A pomnik pełen zresztą pogody renesansowej, jasny, bez mroków, zapachów ziół i kwiatów pełen.

*Były kościół pofranciszkański,  
za niewoli moskiewskiej magazyn wojskowy*

Kościół pofranciszkański, duży, gotycki, halowy z wystawą wysoką a spiczastą, ceglany, stary, spatynowany, z siwymi skarpami silnymi, trzy jednej wysokości nawy podkreślającymi, z bogatym tynkowanym białym barokowym portalem bardzo wymyślnym, z zamurowanym oknem głównym gotyckim nad wejściem, miasto którego szerokie pękate okno barokowe, bez obramień zresztą, ale suto zakratowane, wycięto.

Portal, z dwoma patrzącymi się zezowato w boki kroksztynami wielkimi, ma nad sobą wnęczkę niedużą z pobielonym posążkiem najmilszego Świętego Pańskiego, ubożuchnego Świętego Serafickiego Franciszka z Asyżu. Drzwi zaryglowane zresztą na siedem spustów. Wnętrze, magazyn wojskowy, niedostępny, chyba dla szczurów i ptaków.

Dwa boczne okna, całkiem zamurowane, rysują swe puste wnęki gotyckie jak oczy bielmem zasłte.

Na dachu kościelnym wielkim, stromym, spadzistym, dachówką szczerńiałą miejscami zniszczoną krytym, siedzi prześliczna tęga

barokowa sygnaturka, większa, jak wieżyczka raczej, miedzią zielenią obciągnięta, kopulasta z masą gałek pękatych, z kręcącymi się chorągiewkami naokół, złożonymi inicjałami fundatorki, sławetnej mieszczy jakiejś ozdobiona, siedziba ulubiona ptactwa, które zawsze nań siedzi, dokoła nad nią kręci się, wzlatuje.

Z lewej strony kościoła, za zasłoną szumiących wciąż smętnie topoli, ciągną się zrujnowane strasznie, bez okien, bez dachu, bez podłóg, zabudowania klasztorne, tworzące obok kościoła samego wirydaż nieduży. Ruina smętna, porośnięta mchem i krzewami dzikimi, nocne siedlisko upiorów, Moskali niecne dzieło.

Naokół murek nieduży, ze skarpami, bramka bez wyrazu i dalej zgraja domków żydowskich, drewnianych, pochylonych, szczerbionych, gontem krytych, malowniczych jak każde ghetto.

### *Wnętrze kościoła*

Wielkie, gwiazdziste, szerokie i płaskie, sklepienie późnogotyckie, podtrzymujące chór olbrzymi barokowy, nakrywa niby czapa przysionek kościelny, kruchtę.

Ciemno w nim i posępnie. Z trudem odszukać można kropielnicę kamienną z piaskowca kutą, herbem kardynała Oleśnickiego ozdobioną z wodą święconą.

Za to w głębi kościoła wszystko jasne, białe, złote, barw pełne, ołtarzy barokowych bez miary, bogate ławy, ambona, bogate ferytry, chorągwi pstrych moc.

I tylko zaraz u wejścia na prawo przy kruchcie w jej cieniach prawie posępny olbrzymi krucyfiks stary drewniany, z wizerunkiem Ukrzyżowanego w wielkim wieńcu cierniowym, straszliwie umęczonego, cierpiącego bez liku, trzema gwoździami do krzyża przybitego okrutnie.

Przed krzyżem na kamiennej posadzce lampka oliwna pali się spokojnie, czasami tylko spazmatycznie łkając w zielonej szklance grubej.

Czasami, kiedy na starej, drewnianej, pochylonej dzwonnicy, stojącej tuż obok kościołka naszego wiejskiego, dzwon uderzy na Anioł Pański, obłoczki białe, płynące w on czas po szafirze nieba, przystają na chwilę, łączą się, kojarzą i jakby ręką genialnego snycerza dotknięte tworzą pomału cudowną scenę Zwiastowania i archanioła nad archanioły, ośmioskrzydłatego Gabriela i schyloną kornie na klęczkach Przenajświętszą.

I kiedy dzwon polskiego kościoła poniesie daleko przez pola, nad lasy, nad chaty, nad wody wieść radosną, gasnącą tam dopiero, gdzie nowe dźwięki tej samej modlitwy się rodzą: Zdrowaś Maria, łaskiś pełna, Pan z Tobą, w obłokach Przenajświętsza leciutko skłania głowę i zda się szepce:

— Oto ja służebnica Pańska, niech się stanie wedle słowa Twego.

A kiedy umilknie dzwon, obłoczki zakołyszają się znowu, cichutko nad Polską w dalszą drogę popłyną, wizja święta rozwiewa się pomału, pozostawiając po sobie jakby aromaty najczystsze.

Ave Maria gratiae plena...

1925

## W KRUCHCIE

Kruchta obszerna, wysoka, murowana, sklepiona: odrzwia stare gotyckie ceglane, drzwi żelazne, kute, do kościoła — zamknięte.

Wilgoć i zapach kadzidła. Festony pajęczyny, szeregi blaszanych tabliczek od trumien przybite wysoko nad drzwiami, zeszcłłe wianki, brudna wstęga zbutwiała. W rogu wielki, rzeźbiony, drewniany Chrystus ukrzyżowany. Taki okropny, wykręcony, jaskrawo pomalowany z brudnymi plamami na nogach od pocałunków.

Obok kropielnica kamienna szara z piaskowca, w kształcie przewróconego dzwona z gotyckim napisem i tarczą herbową startą. Ściana za kropielnicą wilgotna i brudna jakby zaplamiona, ale taką wolę.



Po drugiej stronie ława czarna z zielonym, niska i szeroka, nad nią płyta kwadratowa niewielka z łacińskim napisem i trupią główką, pomnik z 1607 roku kanonika z czasów Zygmunta III. Bliżej drzwi wchodowych stare druki na szarym papierze, w ramach zapleśniałych: Odpusty Ojca świętego Grzegorza XVI i szufladka maleńka w ścianę wetknięte z drewnianymi kostkami numerowanymi. Kostki trzeba wyjąć po jednej i stosowną modlitwę za tonących, w niewoli jęczących, w czyśćcu nieba oczekujących zmówić. Dwa ojciec nasz, jedno zdrowaś i tyle łask spłynie.

Posadzka kamienna, z płyt wielkich, trochę krzywych ułożona. Stara kobiecina, w wielkiej chustce czarnej u drzwi uklękła, głowę do proga skłoniła i posadzkę zapluta całuje, ręce rozkrzyżowała i przed żelaznymi drzwiami zamkniętymi modli się, coś szemrze.

A na zewnątrz słońce świeci, ciepłe i radosne, drzewa stare grzeją swe korony zielone, ptaszki świergocą.

Za murowanym ogrodzeniem niskim widać Wisłę szeroką, lenniwą z piaszczystymi łachami. Jakie piachy w tym roku na Wiśle. A tratwa na Wiśle, flisaki krzyczą, jak krzyczą. O jej. Do Gdańska, do Gdańska, do Prus. A Prusy zaraz, bliźniutko. A stalle w kościele gdańskie. Szkoda, że kościół zamknięty. Kruchta jeszcze otwarta. Kruchtę prędko zamkną.

1917

## NA KUJAWACH

### *Płowce*

Płowce. Łokietek. Krzyżacy. Zgiełk bitwy. Szczęk oręża.

Pomniczek chwały: słupek ceglany w zmurszałych sztachetkach, chwastami obrosły.

Biały szczep koński wygrzewa się na słońcu w trawie.

Wiatr przynosi wyziewy padliny.

Rżysko.

Stodoły w topolach.

190